

Niezapominajka

Beata Worobiec



Prolog

Wszystkie mięśnie w moim ciele się trzęsą. Nie potrafię tego powstrzymać. Wiatr przeszywa mnie na wskroś. Nie mogę normalnie oddychać. Nawet powietrze wlatujące do płuc drapie lodowatymi igłami i drga w rytm urywanych oddechów. Jest mi tak cholernie zimno! Powinnam zabrać zimową kurtkę, choć wydawało mi się, że w kwietniu mrozy odpuszczają.

Noc odebrała mi możliwość swobodnego przemieszczania się po mieście. Wybiła piąta, a ja stoję jak kolek przed dworcem głównym i nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Choć latarnie oświetlają teren, panuje tu dziwny mrok. Nie potrafię wytłumaczyć uczucia niepokoju, które się we mnie obudziło, jak tylko wysiadłam z pociągu. Może dlatego, że księżyc gdzieś się schował. Gwiazdy również postanowiły wziąć

sobie wolne. Jedyne czarne burzowe chmury zatęskniły za miastem. Zanosi się na deszcz, ale nie pada. Wiatr świszczy w pustych przestrzeniach między budynkami i silnymi podmuchami wygina gałęzie młodych klonów rosnących wzdłuż ulicy. Na szczycie bloku wznoszącego się po przeciwnej stronie ulicy świeci zielony neon: „dobry wieczór we Wrocławiu”.

Kiedy mróz atakuje po raz kolejny, mam wrażenie, jakby moje ubranie zniknęło. Czuję się, jakbym stała naga. Jakby żadna powłoka nie odgradzała mnie od wichury. Nie potrafię opanować trzęsących się kończyn. Dalsze błądzenie w poszukiwaniu odpowiedniego przystanku mogłoby spowodować, że już na początku wizyty wylądowałabym w szpitalu. Spędziłam w tego typu placówkach wystarczająco dużo czasu, żeby nie chcieć wracać.

Kółka walizki stukają miarowo pokonując odległość kolejnych szerokich płyt chodnikowych. Cofam się w głąb dworca i zatrzymuję wzrok na szeregu fast-foodów. Pobyt w MacDonaldisie o piątej rano wydaje się nadzwyczaj dobrym pomysłem. Muszę się zastanowić, a ciepła herbata i frytki mogą mi to znacząco ułatwić. Kawy nie pijam. Nie lubię.

Przeprowadzkę planowałam od dłuższego czasu. Właściwie odkąd wyszłam ze szpitala. Po tym, co się wydarzyło, już nic nie trzymało mnie w Radomiu. Życie przybrało barwę pustej egzystencji. Jedna nieprzemyślana decyzja odebrała mi wszystko, więc miałam nadzieję, że druga przyniesie mi nowy sens. W ciągu kilku godzin spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechałam. Wrocław wybrałam spontanicznie. Podświadomie czułam, że tutaj mogę znaleźć szczęście. Jestem człowiekiem z natury nieustępliwym. Takim, który jak się uprze, to nawet w zamrażalce potrafi upiec tosty. Kiedy

postanowiłam wyjechać, nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Nic też mnie specjalnie nie trzymało. Rodzice po rozwodzie zamieszkali na przeciwnych krańcach miasta. Z siostrą od dłuższego czasu nie miałam kontaktu. Z kolei moja wielka miłość... cóż, zniknęła z dnia na dzień. Jednego dnia Igor był przy mnie, a drugiego już go nie było. Nie zabrał nawet swoich rzeczy. Czułam się nijako. Chciałabym powiedzieć, że to był stan przejściowy – etap pośredni między jednym rozdziałem życia, a drugim. Niestety nie ma czegoś takiego jak stan pośredni. Nie można być trochę zgwałconym. Linia nie może być trochę krzywa. Jest prosta, albo krzywa. Coś jest czarne, albo białe. Moje stało się czarne, a potrzebowałam choć trochę szarości. Wszystko wokół przywoływało wspomnienia i rodziło smutek. Musiałam zacząć od nowa, a Wrocław miał być moim startem.

Dość mroźnym startem – trzeba przyznać, ale nie było rzeczy, która mogłaby sprawić, żebym wróciła do rodzinnego miasta. Chciałabym powiedzieć, że lubiłam Radom, ale cóż, nigdy za nim nie przepadałam i kiedy uświadomiłam to sobie podczas wielkanocnej kolacji, zrozumiałam, że muszę coś zmienić. Najlepiej wszystko.

Teraz Wrocław stał się moim domem. Chciałam go bardziej niż czeokolwiek innego. Ze wszystkimi jego wadami i zaletami.

Rozdział 1

Dupa. To takie coś, co każdy ma z tyłu i nosi ze sobą wszędzie. Takie do siedzenia, ale też idealnie oddające stan mojego życia. Dupa, istna dupa, czarna dupa (bez podtekstów). Znalazłam się w obcym mieście bez żadnego

planu i pomysłu. Miałam trochę oszczędności, ale musiałam je umiejętnie wykorzystać, żeby się utrzymać. Największym minusem spontaniczności jest brak konkretów, a takowe czasami się przydają. Chociażby do tego, żeby znaleźć nocleg.

Nie chciałam zatrzymywać się w hotelu – to by mnie rozleniwilo. Potrzebowałam mieszkania od zaraz. Zwłaszcza, że po podróży czułam się zmęczona, brudna i stara. To uczucie na pewno zna każdy, kto ukończył osiemnasty rok życia. Ja magiczną granicę przekroczyłam już osiem lat temu. Od tego czasu zdarzały mi się dni, kiedy największym sukcesem jest podniesienie się z łóżka, a już wtedy człowiekowi wydaje się, że jest zmęczony.

W myślach użalałam się nad sobą, gdy tymczasem zza lady kiwnął na mnie jakiś gówniarz w zielonej koszulce. Zaprosił do kasy i storpedował standardową korporacyjną mową o produktach w promocyjnej cenie. Wydawał się

mocno niepokieszony ubogim zamówieniem. Lokal świecił pustkami, ale blondynek o twarzy w całości pokrytej wypryskami krzątał się za ladą, jakby czekało na niego co najmniej dziesięciu głodnych klientów. Profilaktycznie obejrzałam się za siebie. Mogło się przecież zdarzyć, że nagle wszyscy podróżni zapragnęli burgera i po cichutku ustawili się za mną.

– Mi się nigdzie nie spieszy – powiedziałam na tyle cicho, by nie zabrzmieć zbyt obcesowo, ale żeby blondynek usłyszał. Usiłowałam sobie przypomnieć imię zapisane na tabliczce, którą miał przypiętą do koszulki. Może zareagowałby, gdybym zwróciła się bardziej personalnie.

– Aha – odparł jakże błyskotliwie i niemal na siłę wcisnął mi w rękę zamówienie. Przez chwilę patrzyliśmy się na siebie i staliśmy tak mądrzejsi o dzisiaj, głupszy o jutro.

Po siedmiu godzinach podróży wśród geriatrycznej części narodu, łaknęłam kontaktu z ludzkością, ale zdałam sobie sprawę, że w takim miejscu go nie znajdę. Ukłoniłam się grzecznie, zabrałam tacę i usiadłam przy jednym z wielu pustych stolików. Zielono-złote wysokie sufity sprawiały, że to miejsce nie przypominało typowego fast-foodu. Cały dworzec wydawał mi się magicznym miejscem. Podziwiałam go pod kątem architektonicznym.

Było jeszcze przed szóstą, więc miałam sporo czasu do zabicia. Rozważałam wyszukiwanie mieszkań przez telefon. Nie spieszyłam się jednak zbyt. O tej porze i tak nie wypadało dzwonić, żeby sprawdzić, czy oferty są aktualne. Usiłowałam uporządkować myśli i stworzyć plan działania, kiedy zauważyłam, że na siedzeniu obok mnie leży gazeta. Wyglądała jak szmatławiec rozdawany za darmo na mieście, ale z nudów do niej zajrzałam.

Data wskazywała na 4 kwietnia, czyli gazeta była z poprzedniego dnia. Mogła zawierać w miarę aktualne informacje, a to zawsze było w cenie. Dodatkowo obrazek z niebieskimi kwiatkami poprawił mi humor. Zawsze lubiłam niezapominajki. Pamiętałam, jak siostra śpiewała mi o nich w dzieciństwie.

*„Niezapominajki to są kwiatki z bajki.
Rosną nad potoczkiem, patrzą rybim oczkiem”*

– tak pisała o nich Konopnicka. Tak też śpiewała Lenka, a ja słuchałam jak zaklęta. Pierwszy raz usłyszałam o nich, kiedy przewróciłam się w parku i zaczęłam płakać. Kwiatki akurat rosły przy drodze. Lena zerwała ich kilka, kiedy matka zbierała mnie z podłoża. Uspokajała, ale nic na mnie nie działało. Przestałam się drzeć dopiero, kiedy siostra dała mi kwiatki i zaczęła o nich śpiewać. Później dawała mi je zawsze, kiedy gdzieś wyjeżdżała. Mówiła przy tym: „Nie zapomnij o mnie”.

Nigdy nie zapomniałam, choć z ukochaną siostrą nie miałam kontaktu już od dłuższego czasu. Wzmianka o niezapominajkach mi ją przypomniała. Byłam w stanie odtworzyć z pamięci ich delikatny zapach. Zawsze był dla mnie ledwo wyczuwalny. Podobało mi się to, bo mogłam pozwolić zmysłom na fantazjowanie. Wyobrażałam sobie całą paletę zapachów i za każdym razem, kiedy przykładałam nos do kwiatka, pachniał odrobinę inaczej. Od tego czasu, jak tylko widziałam malutkie niebieskie płatki, w głowie odtwarzam piosenkę o nich, przypominam sobie jeden z wymyślonych zapachów i poprawiał mi się humor. Tym razem jednak ogarnął mnie smutek i tęsknota za Leną. Dziennikarze wiedzą najlepiej, jak zepsuć człowiekowi dobrze rozpoczynający się dzień. W dodatku piękne kwiatki połączyli z artykułem o morderstwie. Nie wyglądało to najlepiej, ale nie przejmowałam się. Na świecie w ciągu każdej

minuty ktoś umiera, a jednak ludzie nie potrafią oswoić się ze śmiercią.

Dalej trafiłam na równie optymistyczne artykuły: „*26-letni robotnik porażony prądem*” – wypadki chodzą po ludziach, zdarza się; „*Bunt proboszczów, którzy nie chcą płacić podatków od wiernych*” – no cóż, któż by im się dziwił?; „*Nowoczesny biurowiec zamiast liceum*” – jasne, po co kolejne liceum, skoro społeczeństwo i tak z roku na rok jest coraz głupsze?; „*Sygnalizacja wyświetlała czerwone i zielone światło jednocześnie*” – to miasto zaczynało mi się podobać!

Aby nie zrazić czytelnika w pełni, na rogu strony umieszczono kolorowy prostokąt informujący o wydarzeniach kulturalnych czekających na ludzi w najbliższy weekend. To wydało mi się najbardziej interesujące. Jako osoba zajmująca się sztuką, węszyłam za okazją do znalezienia pracy.

Zanim dotarłam do odpowiedniej strony, moją uwagę po raz kolejny przykuły niezapominajki. Artykuł na całą stronę nie pozwalał przejść obok siebie obojętnie. Seryjny morderca grasował. Na łowy wyznaczył sobie konkretne pory. Trzeci rok z rzędu policja znajdowała ofiarę o poranku dnia 3 kwietnia, a kolejną po upływie 32 dni. Można by to uznać za zbieg okoliczności, gdyby nie fakt, że przy każdym ciele znaleziono niewielki pęczek niezapominajek. Właściwie tylko to łączyło ofiary. Poza tym różniły się wszystkim – wiekiem, płcią, statusem społecznym, kolorem oczu i włosów. Różny był także sposób, w jaki zginęły. Jedne ze zwłok były tak zwęglone, że uniemożliwiały identyfikację. Przyjęto, że to chłopak, którego zaginięcie kilka dni wcześniej zgłosiła matka. Wydało się to prawdopodobne, ponieważ na miejscu znaleziono kurtkę, w jakiej ostatnim razem był widziany. Marny materiał dowodowy.

Artykuł dodatkowo okraszono przestrogi dla mieszkańców miasta. Morderca dokonał kolejnej zbrodni, czym zapoczątkował odliczanie. Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie, bo w dalszym ciągu nie rozgryziono schematu postępowania psychopaty. Miasto miało żyć w strachu aż do 6 maja, żeby następnie na co najmniej dziesięć miesięcy zapomnieć o sprawie.

Przewróciłam stronę, by natknąć się na repertuar kin, a później wiadomości sportowe. Ominęłam je bez zastanowienia. Tym sposobem trafiłam na sekcję pełną drobnych literek, które również bym pominęła, gdyby nie jedno ogłoszenie zakreślone grubo żółtym mazakiem. Dotyczyło wynajmu mieszkań. Zleceniodawca oferował pokoje z kuchnią, łazienką i balkonem w przystępnej cenie.

Stronę dalej nareszcie znalazłam wydarzenia kulturalne, ale niestety nie szykowało się nic, co pomogłoby mi nawiązać

odpowiednie znajomości i znaleźć pracę. Z dostępnych zajęć pozostało więc szukanie mieszkań. Wyciągnęłam telefon i zaczęłam przeglądać oferty. Było to jedno z najbardziej zmudnych zajęć, jakie w życiu robiłam. Po godzinie miałam zanotowane na rogu gazety kilkanaście numerów i krótkich opisów dotyczących specyfikacji. Później wystarczyło poczekać do dziewiątej, żeby z czystym sercem zacząć dzwonić. Z nudów przejrzałam po raz kolejny gazetę i przeczytałam ją od deski do deski.

Pierwsza kobieta, która odebrała mój telefon wydawała się szalenie miła. Wytłumaczyła mi nawet jak mam do niej dojechać z dworca. Niestety jej oferta miała niewiele wspólnego z tym, co zastałam na miejscu. Kolejna pozycja na liście pasowała do opisu, ale była dostępna dopiero od następnego miesiąca. Trzecia pozycja była dostępna od zaraz, ale podejrzewałam, że przede mną

wprowadzili się tam już lokatorzy w postaci pajaków, szczurów i karaluchów. Kolejna pozycja olśniewała nowoczesnością i porządkiem, ale mój portfel aż zapiszczał, kiedy usłyszał cenę. I tak wykreślałam kolejne adresy, aż w końcu zostałam na skraju miasta, gdzie dojeżdżał jeden tramwaj. W dodatku telefon był na granicy wytrzymałości ze swoimi 20% baterii.

Miałam ochotę się pochlastać, albo usiąść na środku ulicy i zacząć płakać. Byłam jeszcze bardziej zmęczona, brudna i głodna. Ścisnęłam w ręce gazetę, na której widniały niezapominajki i obok nich masa pokreślonych numerów. Ostatnią szansą była zakreślona na żółto oferta z działu ogłoszeń. Modliłam się o to, żeby była aktualna i wiedziałam, że w ciemno zgodzę się na wszystko, byle tylko wziąć prysznic i się położyć.

Tym też sposobem znalazłam się przed kwartałem położonym blisko centrum. Od

rynku dzielił mnie most i zaledwie dwie ulice. Zabudowa może nie należała do najnowocześniejszych, a na balkonie mieściło się nie więcej niż dwa krzesła, ale mieszkanie było umeblowane i utrzymane w czystości. To mi w zupełności wystarczało. Mogłam w końcu rzucić w kął walizkę i odpocząć.

Zrozumiałam, że nieprzypadkowo wyładowałam właśnie w tym miejscu. Wszystkie poprzednie musiały wydać się nieodpowiednie tylko po to, żeby to jedno mogło okazać się właściwe. To zabawne, ale człowiek może wejść do setki mieszkań i nie czuje zupełnie nic, a potem wchodzi do jednego i od razu wie, że właśnie w nim zamieszka. To nie człowiek wybiera mieszkanie – to mieszkanie wybiera swojego lokatora (jak abstrakcyjnie by to nie brzmiało). Po prostu czułam, że to jest miejsce dla mnie. Pokój nie należał do największych, ale przestrzeń była idealnie zorganizowana i dostosowana do potrzeb twórcy. Od wejścia

rzucała się w oczy masywna szafa w odcieniu ciemnego orzecha. Cały komplet mebli był utrzymany w tej samej kolorystyce, co ładnie komponowało się z brzoskwiniowym kolorem ścian. Poza tym lustra zamontowane w przesuwanych drzwiach szafy sprawiały, że pomieszczenie stawało się większe optycznie. Naprzeciwko znalazło się miejsce dla niewielkiej komody, do której przylegało łóżko stworzone z dwóch grubych materacy nałożonych na siebie i stosu poduszek. Przy wejściu po stronie szafy znajdowała się typowa ścianka meblowa z telewizorem, a naprzeciwko niewielki stolik i dwa fotele. Przytulne gniazdko, do którego przywiązałam się od pierwszej chwili. Poruszałam się po pomieszczeniach, jakbym mieszkała w nich od lat. Nie miałam najmniejszego problemu z rozmieszczeniem rzeczy. Nie zastanawiałam się, na której półce ułożyć kosmetyki, a na której ubrania. Cały układ był stworzony jak na moje życzenie.

Meble stały tak, jak sama bym je ustawiła. Przesunęłam tylko łóżko, żeby stało bliżej okna i balkonu.

Mogłam odetchnąć spokojnie. To był nowy start, o którym marzyłam.

Nie przejmowałam się mokrymi po kąpieli włosami i wyszłam na balkon. Miałam ochotę odegrać scenę z „*Księcia w Nowym Yorku*” i zacząć głośno witać się ze wszystkimi sąsiadami. Patrzyłam na niebo nade mną i podwórze przede mną. W przestrzeni pomiędzy blokami roiło się od miejsc parkingowych oddzielonych kilkoma karłowatymi drzewkami.

– Tylko nie wypadnij. – Kobięcy głos sprawił, że aż podskoczyłam. Zaczęłam się rozglądać i zlokalizowałam kobietę na sąsiednim balkonie. Siedziała wygodnie na krześle, opierała stopy na barierce i paliła papierosa. Jej krótkie, czarne włosy odstawały

we wszystkie strony świata, jakby żyły własnym życiem.

– Jezus Maria, wystraszyła mnie pani – odpowiedziałam odruchowo. Choć nieznajoma wyglądała młodo, dobre maniery kazały mi się zwracać do niej formami grzecznościowymi. Mogła mieć najwyżej kilka lat więcej ode mnie, ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

– Błagam... jesteśmy sąsiadkami. Mów mi Marta. – Miała niesamowicie seksowny głos. Tak, seksowny to pierwsze określenie, jakie przyszło mi do głowy. Do tego zielone oczy, alabastrowa skóra i pociągłe rysy twarzy. Nawet bez makijażu, w starej koszulce wydawała się piękna. Lena miała bardzo podobne oczy. Równie zielone i magnetyczne. Strasznie za nimi tęskniłam.

– Miło mi, jestem Laura. Dopiero się wprowadziłam.

– Widzę. – Przewróciła oczami i mogłabym przysiąc, że pod nosem nazwała mnie przyglupem. Zaciągnęła się papierosem, odchyliła głowę i wypuściła dym układając usta w kształt litery „O”. – Skąd przyjechałaś?

– Z Radomia.

– Kawalek drogi...

– Chciałam uciec jak najdalej, zacząć od nowa.

– Brzmi, jakbyś wybiła pół miasta i musiała się ukrywać pod nową tożsamością.

– Spowodowałam wypadek, który zmienił moje życie. Ciężko było je później poskładać – przyznałam się.

– Czasem nie da się czegoś poskładać. Trzeba wtedy sprzątnąć odłamki i zacząć budować od nowa w innym miejscu.

– No i oto jestem. – Uśmiechnęłam się. Próbowałam pokrzepić tym gestem samą siebie.

Głos zaczynał mi drżeć, ilekroć przypominałam sobie, co wydarzyło się rok wcześniej.

– Nienajlepsze miejsce wybrałaś, dziewczyno. Nie słyszałaś o tym, że po Wrocławiu grasuje seryjny morderca?

– Ty nie wydajesz się tym specjalnie zmartwiona – zauważyłam. Zdziwił mnie spokój, z jakim wspominała o sprawie.

– Złego diabli nie biorą. – Puściła do mnie oczko i zgasła peta na parapecie, po czym cisnęła nim przed siebie. – Słuchaj, zaraz idę do pracy, ale jak chcesz, to jutro możesz wpaść na kawę. Pogadamy, poznamy się trochę. Jeśli dopiero przyjechałaś, to przyda ci się ktoś, kto zna miasto i jest blisko, w razie gdybyś potrzebowała jakichś informacji.

– Och, dziękuję. Istotnie, dobrze jest znać swoich sąsiadów – przytaknęłam, choć nie byłam pewna, czy Marta mnie usłyszała. Zdażyła już zniknąć za drzwiami.

- Nie wszystkich. Uwierz mi, nie wszystkich - dobiegł mnie uwodzicielsko chrapliwy głos dochodzący z wnętrza sąsiedniego mieszkania. Usłyszała.

Przez chwilę stałam na balkonie i patrzyłam przed siebie, ale coraz chłodniejsze podmuchy skłoniły mnie do ukrycia się w swoim przytulnym lokum.

Nie miałam jeszcze podłączonych głośników, więc nie mogłam puścić muzyki. Od niechcienia włączyłam telewizor, bo cisza mnie męczyła. Nigdy nie potrafiłam wytrzymać w niej zbyt długo. W ciszy dużo trudniej powstrzymać natłok przemyśleń, wspomnień i rozegranych tylko w wyobraźni rozmów. Niewielu ludzi ma na tyle siły, żeby zmierzyć się z własnymi demonami. Właśnie dlatego powstały odtwarzacze muzyki i... telewizory. Lepiej słuchać bzdurnych wypowiedzi obcych ludzi, niż skazać się na własne towarzystwo. Choć zawsze szydziłam z tych, którzy włączają

telewizory tylko po to, żeby grały, tego wieczora zrobiłam dokładnie to samo. Byłam sama w nowym mieście i potrzebowałam odrobiny towarzystwa. Tak bardzo chciałam, żeby był przy mnie Igor lub Lena. Niestety towarzystwo na ekranie musiało mi wystarczyć.

Nie miałam zbyt wielu rzeczy. Zabrałam tylko to, co najpotrzebniejsze. Właściwie poza ubraniami, bielizną, kosmetykami i sprzętem do pracy, nie potrzebowałam niczego. Szybko skończyłam rozkładanie rzeczy i położyłam się na łóżku, żeby odpocząć. Dopiero wtedy zaczęłam zwracać uwagę na to, jakie dźwięki dobiegają z telewizora, który wcześniej był dla mnie tylko tłem. Akurat leciały wiadomości, a tematem głównym był tajemniczy seryjny morderca. Spikerka z powagą opowiadała o morderstwach. Wszyscy byli przerażeni kreatywnością psychopaty, który za dnia mógł przechadzać się spokojnie ulicami miasta. Każdą ofiarę potraktował bardzo indywidualnie.

Pierwszym celem stał się Karol Werner. Tu sposób śmierci był oczywisty – student został brutalnie podpalony w swoim samochodzie. Najprawdopodobniej przeżywał katusze porównywalne ze średniowiecznymi procesami czarownic, bo ekspertyza wykazała, że jeszcze żył, kiedy jego ciało stanęło w ogniu. Druga ofiara miała więcej szczęścia, bo śmierć przyszła do niej spokojnie. Bibliotekarka zmarła przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Emilia Popławska została uduszona podczas snu. Trzecim razem mordercy puściły nerwy i swoją ofiarę potraktował tak brutalnie, jakby chciał się na niej wyżyć. Elżbietę Trzebiatowską, typową businesswoman, znaleziono z wieloma ranami zadany mi nożem, albo innym ostrym przedmiotem. W dodatku została okradziona ze wszystkich pieniędzy i kosztowności. Czwartym razem pecha miał Szymon Cieplucha. Nie udało mu się wytłumaczyć mordercy, że stara, pełna drzazg noga od krzesła, to nie jest najlepszy

przyrząd do zmieniania kształtu żuchwy. No i najnowsze osiągnięcie mordercy – Wojciech Koziół. Mężczyzna zmarł od porażenia prądem, kiedy wykapał się z podłączoną do kontaktu suszarką. Policja usiłowała znaleźć jakieś powiązanie między ofiarami, ale żadne modus operandi nie trzymało się kupy. Elementem charakterystycznym były tylko niezapominajki.

Blondynka w niebieskim żakieciku oddała w końcu głos reporterowi, który przemierzał ulice Wrocławia. Przystojniak z ulizanymi włosami zaczepił przechodzącą dziewczynę i zapytał ją o to, czy zna zagrożenia czyhające na nią każdego dnia. Na początku z pełną powagą powiedziała, że rzeczywiście zdarzało jej się bać szkolnej matematyki. Zwłaszcza, kiedy odwracała się tyłem i nachylała nad innym uczniem.

– Mam na myśli seryjnego mordercę – sprecyzował. – Nie boisz się chodzić nocą po ulicach w czasie, kiedy odliczanie trwa?

– Ja się niczego nie boję – odpowiedziała ruda trzpiotka. Zakręciła palcami loka i uśmiechnęła się do reportera, jakby chciała go uwieść. – Ja, proszę pana, jestem dzieckiem szczęścia. Nie wierzę w pecha, więc nigdy go nie mam. Jestem przekonana, że kiedy ten świr będzie mordował, ja akurat będę się świetnie bawiła na drugim końcu miasta.

– Odważne stwierdzenie, ale czy rozsądne? – Reporter zwrócił się w stronę kamery. – Prezydent miasta radzi, aby zawsze wychodzić grupami i nie ufać nowopoznanym ludziom. Zwłaszcza nocą bezpieczniej będzie zainwestować w powrót taksówką znanej firmy przewozowej. Życie jest najcenniejszym darem, jaki mamy i nie warto ryzykować utracenia go dla chwili nieprzemyślanej zabawy.

– Mówię panu, co ma być, to będzie. Co ma zawisnąć, nie utonie. Bawcie się, ludzie! Życie jest za krótkie, żeby bać się wyjść z domu – wtrąciła przepytywana.

– Ostrożności nigdy za wiele. Policyjni psychologowie organizują coraz więcej spotkań informacyjnych, aby nauczyć wrocławian rozpoznawania osób nie zrównoważonych psychicznie. W tym czasie funkcjonariusze oferują bezpłatne warsztaty z samoobrony. Chcą w ten sposób ocieplić wizerunek policji, która dwoi się i troi, żeby zapewnić ludziom bezpieczeństwo.

– Wszystko to bez sensu. – Ruda prychnęła. – I tak nigdy nie wiadomo, kiedy morderca zaatakuje. Może to być środek nocy, albo środek dnia. Raczej ciężko się obronić, kiedy się wraca do domu po pracy z siatką zakupów w rękach.

– Zawsze trzeba mieć oczy szeroko otwarte, bo niebezpieczeństwo może się czaić na każdym rogu. Do 6 maja mamy jeszcze pełen miesiąc, ale prezydent Sokołowski już zapowiedział wzmożone patrole i pełną mobilizację – zapewniał reporter.

Nie zauważyłam, kiedy moja świadomość zaczęła odpływać i obudziłam się dopiero następnego dnia. Podobno sen podczas pierwszej nocy w nowym miejscu zawsze się sprawdza. Cóż, nie najlepiej to o mnie świadczyło, bo... nie śniło mi się nic.